

Zbawienny efekt kradzieży w gminie Jasienica, modowe śledztwo sterdyńskiego lekarza,
w Miedznej żądają częstszych prelekcji, w Smolewie aresztują za obronę mienia,
a chroniący swą własność mieszkańiec Gliny walczy o życie w szpitalu

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelań.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Sterdyń, pierwsza dekada XX w. Oracz z wołami czarnej rasy krajowej.
(fotografia ze zbiorów dr. Adama Jarosińskiego)¹.

W gminie Jasienica kłopot był wielki z uzyskaniem pożyczki, bo albo przyszło skorzystać z usług lichwiarza, albo znęcać się nad własną wątrobą, organizując bibki dla miejscowych notabli. Sprawę rozwiązała wielka kradzież w jednej z wiosek. Ludzie poczęli wyjmować oszczędności z przeróżnych domowych oraz ziemnych skrytek, po czym znosić uciulane ruble do kasy pożyczkowej, a ta poczęła pękać w szwach od nadmiaru gotówki i tym sposobem pożyczki stały się dobrem ogólnodostępnym.

To już kolejny artykuł, w którym sterdyński lekarz dzieli się swoimi spostrzeżeniami i uwagami na temat higieny. Do napisania niżej cytowanej pracy skłoniły dr. Tchórznickiego ciekawe obserwacje modowe. Otóż zauważył, że ludność wiosek i miasteczek leżących na obszarze jego praktyki porzuca masowo tradycyjne stroje ludowe, na rzecz przedziwnych osobliwości, które może w Warszawie czy Paryżu nikogo nie dziwią, ale tu nad Bugiem kołą co wrażliwsze oko.

Wielokrotnie donosiliśmy z różnych parafii, iż zawitał tam kapłan, który stał się animatorem rozwoju i to pod każdym, dobrze pojętym względem. Szczęście takie przytrafiło się także mieszkańcom parafii Miedzna, a dobrym duchem okazał się proboszcz ks. Teofil Rybka.

We wsi Smolewo w gminie Szulborze-Koty doszło do zaboru mienia. Napastnik straszył ponoć poszkodowanego rewolwerem, za co kompani ofiary spuścili mu manto. Domniemany łotrzyk złożył doniesienie do organów ścigania, a poszkodowany wraz z kolesiami trafił za kratki. Redakcja użyła słowa „domniemany”, gdyż dysponuje jedynie relacją osoby najwyraźniej sympatyzującej z zatrzymanymi.

Nie ma natomiast wątpliwości co do przebiegu innego kryminalnego zdarzenia, którego sceną był lasek w pobliżu wioski Glina. Mieszkaniec tejże miejscowości złapał rabusiów na gorącym uczynku, w wyniku czego trafił do szpitala z ciężkim uszkodzeniem głowy – nie wiemy, czy przeżył. Sprawców schwytano.

Długą epistołę nadesłał pan Marian. Z powodu szczupłości miejsca, nie możemy zamieścić jej w całości, ale postaramy się w miarę wiernie streścić.

Pana Mariana niepokoją zmiany zachodzące w zachowaniu jego szanownej małżonki, co nie byłoby może groźne, gdyby żona nie wymagała, aby podzielał jej zainteresowania. Tymczasem, robi to ustawicznie, a widoczny brak entuzjazmu swej prawdopodobnie brzydszej

¹ „Wieś Ilustrowana”, nr 1 ze stycznia 1910 r, s. 42.

(wstrzymujemy się od stanowczego osądu ze względu na brak fotografii) połowy, kwituje słowami – No to spotkamy się u adwokata.

Źródłem nieszczęścia naszego czytelnika jest, jak to często bywa, jeden z portali społecznościowych, na którym blog prowadzi grupa entuzjastów zdrowego odżywiania i kuchni tradycyjnej. Ambicją aktywistów tam skupionych jest odwiedzanie wszystkich jarmarków i targów mających w nazwie słowo „tradycja”, a odbywających się w promieniu ok. 150 km od miejsca zamieszkania każdego z admiratorów tego rodzaju imprez. Szanowna małżonka nie jest posiadaczką prawa jazdy, zatem pan Marian pełni funkcję szofera oraz kulisa dźwigającego zakupy. Początkowo wszystko zapowiadało się niewinnie. Jarmarków za dużo nie było, najwyżej jeden na kwartał, więc nasz korespondent specjalnie nie narzekał, ale jak to mówią – miłe złego początki.

Z czasem ktoś zwęszył niezły interes, nastąpił wysyp tego rodzaju „eventów” i obecnie nie ma już pan Marian wolnej soboty ani niedzieli, bo co weekend, to gdzieś tam w bliższej lub dalszej miejscowości, ktoś jakby na złość naszemu czytelnikowi organizuje jarmark. Tyle że już nie „tradycyjny”, gdyż nazwa ta spowszedniała, ale nadbużański, starosłowiński, pogański, jaćwieski, tatarski, olenderski² i setki innych, których nazw nie sposób spamiętać. Zmieniło się także umundurowanie sprzedawców. Początkowo prezentowali się jak każdy szary człowiek, a teraz przeważają siermiężne stroje sugerujące agrotechniczną prostotę.

Pana Mariana przerażają koszty dokonywanych przez małżonkę zakupów. Słoiczek tradycyjnego, zdrowego dżemu to wydatek rzędu przeciętnie czterdziestu złotych, a mało to pociecha, że na flakonik „ręcznie tartego” chrzanu, należy wysupłać z kieszeni ledwie złotych dwadzieścia.

Zakupy to swoisty rytuał. Każdy z kupujących, a w tym i małżonka pyta na wstępie:

– Czy aby niepryskane?

Rzecz jasna sprzedawcy odpowiadają, że niepryskane, że nie wiedzą nawet, co to są opryski. Niektórzy robią miny tak obrażone, jakby ktoś zapytał, czy nie są pedofilami i to działa najlepiej, bo zawstydzeni swą niezręcznością kupujący, czują się w obowiązku nabycia choćby drobnostki. Co sprytniejsi kramarze opowiadają także o zaletach izolacji, w jakiej mieszkają, gdzieś w odległości 20 kilometrów od najbliższego ludzkiego siedliska. Tym samym wyprzedzają podchwytliwe pytanie:

– A czy aby na pewno nikt tam u was we wsi nie pryska?

Bo przecież wiadomo, że chemia nie wie, co to miedza, więc rozpryskiwana przez sąsiada trafi i na ekologiczne poletko. Pragnących zająć się tym biznesem uprzedza pan Marian, że nie na nic zdają się napisy – „Niepryskane”. Szkoda zachodu i tak wszyscy pytają! Zastanawia się nasz czytelnik, jakiej właściwie odpowiedzi oczekuje jego małżonka i podobni jej osobnicy, na tak zadane pytanie? Czy sądzą, że zdarzy się skruszony grzesznik i przyzna, że ma w Ameryce wujka, a ten załatwił mu z demobilu pół tony defoliantów, którymi jankeska armia spryskiwała wietnamskie dżungle, a teraz i on pryska niczym szalony i powstrzymać się nie może?

² Od Olendrów, czyli przybyszów, początkowo zwykle wyznania menonickiego, wyspecjalizowanych w gospodarowaniu na terenach nadrzecznych.

Razu pewnego wybrali się na jarmark ze znajomymi, a nasz korespondent nie odgrywał roli szofera, lecz wyłącznie kulisa. Udało mu się zgubić w tłumie i trafił do baru, jak na prawdziwego mężczyznę przystało. Tam natknął się na właściciela jednego ze stoisk, jak się okazało posiadacza ponad siedemdziesięciohektarowego gospodarstwa (redakcja nie użyła cyfr, aby pokazać, jak to dużo). Pan Marian spróbował wyciągnąć z nowo poznanego znajomego prawdę, stosując wyrafinowaną, podpatrzoną na filmach metodę, a mianowicie pojąc swego rozmówcę wysokoenergetycznymi trunkami – rzecz jasna tradycyjnymi, a tym samym piekielnie kosztownymi. Najwidoczniej ekologiczni włościanie przechodzą jakieś szkolenia pod okiem speców ze służb specjalnych, bo mimo skrajnego upojenia, neopogański kmicz nadal utrzymywał, że sam jeden, na tych właśnie kolanach (po czym podwinął nogawki i ukazał swe wypielęgnowane, nieskazitelne kolana) własnoręcznie wyrywa każdy chwast z ogromniastego pola.

Drugie pytanie rytualnie zadawane sprzedawcom brzmi:

– Czy to nasze, krajowe?

Jest to pytanie nieprecyzyjne, bo nie wiadomo dokładnie, co klient rozumie przez słowo „nasze” i o jaki konkretnie kraj chodzi? Bez względu na rasę i narodowość, każdy sprzedawca może zatem szczerze odpowiedzieć, np.:

– Koniecznie, a kak inacze, iz naszej strony!

Podobnie jak w przypadku poprzednim także i w tym nie ma pan Marian pojęcia, jakiej odpowiedzi oczekuje małżonka. Być może uważa, że sprzedawca przyzna, iż wyhodował te gigantyczne pomidorki na południowym brzegu Prypeci, w miejscu, do którego od prawie czterdziestu lat nikt nie zagląda?

Jedno w tym zdrowym trendzie jest dobre, a mianowicie hobby małżonki zapewnia panu Marianowi całotygodniowy, choć kosztowny spokój (do horrendalnych kosztów zakupu produktów należy jeszcze doliczyć cenę zużytej benzyny). Żona dzieli się bowiem całymi dniami wrażeniami z zakupów z innymi entuzjastami – tak internetowo, jak i telefonicznie. Ochom, achom oraz wszelkim innym, na najróżniejszy sposób wyrażanym zachwytem nie ma końca.

Nie wie pan Marian, jak to się wszystko kończy, bo zagniewana małżonka nie odzywa się do niego już od trzech dni. Nasz czytelnik szczerze przyznaje, że to jego wina, gdyż lichy go podkusiło i odważył się cichutko wyszeptać, że ma po dziurki w nosie niesłonej soli i niesłodkiego cukru. Żona prawie zawsze puszcza jego słowa mimo uszu, ale tym razem wszystko usłyszała. Trzeba bowiem wiedzieć, że jedną z obsesji członków jej grupy jest poszukiwanie właśnie soli i cukru, ale takich, które poza nazwą nie mają nic, a nic wspólnego z wymienionymi artykułami. Słowu „sól” musi zaś zawsze towarzyszyć słowo dodatkowe, np. „Sól Mariańska”. Nie marsjańska, ale właśnie mariańska, bo niby wydobywana z dna oceanicznego rowu o tej samej nazwie. A jak jakiś nowy Jacques-Yves Cousteau nurkuje tak głęboko, by sól tę pozyskać, to musi przecież odpowiednio kosztować... i kosztuje, a najwidoczniej w czasie transportu na powierzchnię traci swój smak, bo nie jest ani trochę słona.

Cóż możemy Panie Marianie poradzić? Obeznanym w grach giełdowych redakcyjny kolega uważa, że jest Pan niestety na straconej pozycji, bo: „Trend to trend i z nim się nie walczy”. Co dziwne, dużo zrozumienia, a wręcz sympatii dla pańskiej buntowniczej postawy

wykazuje koleżanka redaktorka, sama przecież żona i matka. Przyznaje Panu prawo do protestu, ale jako żona twierdzi, że musi Pan swoje wojownicze manifesty wygłaszać jeszcze ciszej, a najlepiej wyłącznie w myślach. Miarą jej tolerancji jest fakt, iż jej zdaniem każdy ma od czasu do czasu ochotę wystąpić przeciwko ustalonemu porządkowi rzeczy, nawet temu ustanowionemu przez siłę najwyższą, czyli małżonkę, na dowód czego wyszperała taki oto cytat z twórczości Sławomira Mrożka:

Wstyd i strach to wyznać, lecz niekiedy, przekarmiony namaszczonej wzniosłością, łatwą łzą i poprawnością zbyt skwapliwą, mechanicznym aplauzem i gotowym jak z puszek oburzeniem zbyt świętym, zemdlony syropem lub dla odmiany kwasem, który chciałby być pruski, lecz jest mazowiecki, ściśnięty gorsetem, ale w spodniach bez szelek, cierpiąc z powodu butów o numer za małych lub o dwa numery za dużych – nie wytrzymuję. Wtedy mam ochotę zostać rasistą, antysemitą i pogromcą Cyganów rumuńskich, skinem, punkiem, spalić Białowieżę i lasy tropikalne, uchwalić specjalny podatek od ubóstwa zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata, pomyśleć coś brzydkiego o Matce Teresie i księżnej Dianie, zrewidować mój stosunek do dyktatur i polubić faszyzm, a nawet zostać szowinistyczną męską świnia. Przykro mi i przepraszam, ale to nie moja wina³.

[„Zorza”, nr 19 z 6 maja 1897 r.]

Z LISTÓW DO ZORZY.
Z Jasienicy w pow. ostrowskim,
gub. łomżyńskiej.

Przed 10-ciu laty z naszej kasy pożyczkowej gminnej, mającej kapitału 5 tysięcy rubli, niewiele mógł kto korzystać. Wielu było zgłaszających się o pożyczkę, a pieniędzy dla nich nie starczało. To też, kto chciał koniecznie pożyczkę otrzymać, musiał chodzić do kancelarii przez pięć albo i więcej sobót i dobrze wójta i kasjera uczęstować, a jeszcze w dodatku i procent takiemu podwyższyli... Teraz jest wcale inaczej. Kasa bardzo wzrosła, a to z powodu... kradzieży. Jak się to zaś stało – opowiem.

Niejaki Litwa, gospodarz ze wsi Krole, wydawał córkę za męża. Przy tej uroczystości gości miał dużo, przyczem zapomniał zamknąć stolik, w którym było około dwóch tysięcy rubli i tak zostawił je na noc. Nazajutrz idzie do stolika, a tu pieniędzy nie ma. Dopieroż to było po weselu smutku! Pieniądzy nikt nie oddał, aż przeszło miesiąc po tym wypadku znaleziono stratę u tegoż gospodarza w szopie, w poszyciu, pod którym leżało drzewo... Czy to złodziej nie mógł zabrać tych pieniędzy ze sobą i tam je wsadził, czy też sumienie go dręczyło, dość, że gospodarz odzyskał stratę. Ale też dał on zaraz przykład, jak należy pieniądze chować, bo najprzód włożył tysiąc, a później drugi tysiąc rubli do kasy gminnej na procent. Gdy zaś za jego przykładem poszli i inni, którzy także swoje kapitały do kasy pownosili, więc dziś kasa owa ma już 17 tysięcy rubli, a razem kasa posiada obecnie 22 tysiące rubli.

Teraz też każdy, kto chce, może pożyczyć pieniądze w kasie; nie potrzebuje kilka razy chodzić i prosić, ale w każdym razie, byle miał prawo – pożyczkę dostanie. Dużo też o gminie naszej

³ Sławomir Mrozek, *Dziennik powrotu*, Warszawa 2000, s. 183.

można powiedzieć, że wolna jest od wyzysków lichwiarskich, a chociaż kto i tak pożyczycy, to więcej nie płaci, jak 4 do 10 od stu rubli na rok.

Podaję całą tę wiadomość dla przykładu, żeby tak i inne gminy i ich możniejsi mieszkańcy robili. Niech wszyscy oszczędności swoje składają do kas, a na tem i sami będą korzystali w procencie i drugim, uboższym wygodzą, a przytem nie będą narażeni na tyle różnych niebezpieczeństw. Ludzie nieraz kryją krwawo zapracowany grosz gdzieś po jamach, dziurach, skrytkach, a gdy się pożar zdarzy, gdy złodziej przyjdzie, to wtedy wszystko przepada. A przecież kasa nie tylko dla ochrony przyjmuje pieniądze, ale i procent płaci, a chociaż nieduży, bo po 6 od stu, to człowiek ma spokojne sumienie, bo procent to nie lichwiarski, owszem, dobroczynność czyni. Niejeden biedny, żądając pożyczki, a nie dostawszy jej w kasie, wpadłby w ręce lichwiarzy i straciłby swój majątek.

Marceli Jabłonka.
Przedpłatnik „Zorzy”.

[„Zdrowie”, nr 41 z lutego 1889 r.]

HANDEL STARZYZNĄ
Podał Dr Tchórznicki
lekarz szpitala w Sterdyni
[fragmenty]

Zużyte ubiory i stare meble stanowią przedmiot handlu szczególnie w miastach większych. Całe ulice i sklepy zajęte są na magazyny; furgony i wagony zwożą starzyznę z prowincji do miast większych. Byłoby niełatwym obliczyć, jak wielkich rozmiarów dosięga cyfra ulegających sprzedaży zużytych rzeczy, to pewne, że na prowincji każdy krawiec jest jednocześnie przekupniem starego ubrania. W miastach zaś większych egzystują całe rodziny handlarzy starzyzną. [...] Jeżeli zapytamy się, w jaki sposób i dlaczego przedmioty te dostają się do handlu, to odnajdziemy tysiące dróg i powodów ich zbytu, a powód zbycia właśnie w przedmiocie nas zajmującym odgrywa jedną z ról najważniejszych.

Ubiory męskie i kobiece w wielkiej ilości sprzedają się po prostu z powodu zużycia, zmiany mody, chwilowej potrzeby i pochodzą od osób względnie zdrowych; niektóre jednak sprzedawane są z powodu choroby i śmierci właściciela, który ostatnie dni życia w ubiorach tych spędził. [...] Przypuśćmy tedy, że handlarz nabył dany przedmiot na przykład garnitur męski. Spróbujmy śledzić go. Otóż garnitur taki wrzuca się do ogólnego składu odzieży i tu czas jakiś spoczywa, w sąsiedztwie najrozmaitszych innych przedmiotów, z którymi blisko się styka, bo przedmioty od zdrowych kładzie się obok zarażonych, a że to wszystko nasycone jest potem, a często zbrudzone wydzieliną, a w składach przewiewu nie ma, wytwarza się więc specjalny amalgamat – atmosfery stęchłej i zepsutej.

Gdy przyjdzie czas na to, to poprawia się dane sztuki, czyści, prasuje, mając na względzie jedynie wygląd zewnętrzny i taki przedmiot odświeżony wieszka się w sklepie na sprzedaż. Toż samo dzieje się mniej więcej z każdym przedmiotem, dopóki zbytym nie będzie. [...] Należy przypuszczać, że wszelkiego rodzaju ubiory stare były używane przez ludzi niepozostających

w łóżku, ręczyć jednak za to, czy takowi byli zdrowymi, nie można wcale. Suchotnik w ostatnich stadiach cierpienia, syfilityk wydzielający zaraźliwą materię, chorzy porażeni owrzodzeniami wreszcie tyfusowi mogą chodzić, nosić ubiór, zarazić go, potem umrzeć. Ubiór sprzedany bywa wraz z materiałami zaraźliwymi, które udzielić się mogą innym. [...]

Opowieść niesie, że w r. 1874 cała gubernia połtawska zarażoną była dyfterytem gangrenowym przez ubiór po chłopczyku zmarłym w guberni witebskiej. Pierwszy fakt dyfterytu skonstatował lekarz w rodzinie gorzelnego, który oświadczył, iż dzieci zachorowały w trzy dni, po włożeniu ubiorów przysłanych w podarunku przez szwagra, u którego dziecię w guberni witebskiej zmarło na dyfteryt. [...] Ja sam dobrze pamiętam fakt zarażenia suchotami po kupnie futra, które przedtem używał suchotnik wydzielający masami flegmę. Fakt ten dotyczył człowieka młodego, zupełnie przy tym zdrowego i należącego do rodziny zdrowej; w dwa tygodnie po włożeniu futra wystąpiły objawy suchot, które wkrótce złożyły niewinną ofiarę do grobu. [...]



Handlarz starzyzną, litografia z albumu Józefa Rapackiego,
Z dawnej i niedawnej Warszawy, Warszawa 1926.
Źródło: Cyfrowa Biblioteka Narodowa Polona polona.pl.

Z ubrania tego i z bielizny korzysta przeważnie ludność biedna, niebędąca w stanie nabywać nowych ubiorów i pościeli. Taki sposób ubierania się wszedł u wielu w zwyczaj, gotując im chorobę potem nędzę i grób nieraz. [...]

Otóż z serca radzę:

Tym, którzy chcą nabyć ubiór stary w jednym ze składów warszawskich, włożyć raczej zgrzebną suknię utkaną ręką zdrowego wieśniaka i chodzić w niej zdrowo niżli płacić za liche, nicowany i zużyty, a więc krótkotrwały towar i w nim nabywać zarodki przeróżnych lamentów.

W ogóle w tym kierunku egzystuje jakaś niepoahamowana, a szkodliwa skłonność u ludzi (naśladownictwo). Spójrzmy na młodzież wiejską ubraną w odświętne szaty. Gdzie dawne ciepłe sukmany? Zgrabne spencerki, swojskiej roboty różnokolorowe spódniczki i staniki? Wszystko to było świeże, przez wiejskie kobiety z czystego materiału wytkane i zrobione. Dziś młodzież w karykaturalnie uszytych tużurkach i paltach, przenoszonych, nabytych na jarmarku przedstawia bolesny widok.

Kobiety wiejskie przez zimę mogłyby wyrobić każdą dla swej rodziny odpowiednią ilość i sukna, i płócien, za fabrykację których płacić nie trzeba. Dziś włościanin i wyrobica niosą ostatni grosz na perkaliki i palta syberynowe⁴, a w domu bieda: ni mleka, ni chleba. Jarmarki bardzo źle wpływają na demoralizację w tym względzie, a składy taniej tandety i kozuchów, od których czarna krosta często na rękę siada, wędrują z miasteczka do osady i na powrót, i roznoszą zarazę na wszystkie strony.

[„Polak Katolik”, nr 129 z 9 czerwca 1911 r.]

Z Miedzny (pow. węgrowski, ziemia podlaska). Korespondent nasz donosi: W parafii naszej istnieje od lat paru Związek Katolicki, który założył ukochany nasz proboszcz. Ks. Teofil Rybka jest w Miedznie proboszczem już 22 lata, wiele też jemu zawdzięczamy. Piękny kościół, sklep spółkowy chrześcijański, straż ogniowa ochotnicza – wszystko to powstało w naszej parafii za sprawą ks. Rybki. Ks. proboszcz dba o oświatę, prenumeruje lub wypożycza gazety – to też nic dziwnego, że „Zaranie” nie ma do nas dostępu. Ostatnio ks. proboszcz urządził w Miedznie dwa wykłady, które wygłosił zaproszony przez Centr. Komitetu Związku Katolickiego p. Antoni Werytus (A. Skrzynecki) z Warszawy. Wykłady odbyły się w czasie Zielonych Świątek w szopie strażackiej zamienionej na salę. Sala ledwie pomieścić mogła wszystkich ciekawych z Miedzny i z okolicy. Wykłady zgromadziły za każdym razem z górą 700 słuchaczy. Pierwszy wykład był „O wpływie Kościoła na sprawy społeczne”, drugi „O rozwoju handlu i przemysłu chrześcijańskiego”. Wykłady wypowiedziane z wielką werwą i nader popularnie, wzbudziły duże zainteresowanie. Jest nadzieja, że wpływ katolicki w okolicy jeszcze się wzmocni i ożywi się sklep chrześcijański, pod którym dołki kopią Żydzi. Pożądaniem byłoby, ażeby ks. proboszcz urządził więcej takich wykładów.

W. Silko.

[„Wyzwolenie”, nr 35 z 30 sierpnia 1925 r.]

ARESZTOWANIE

Z powiatu Ostrowia-Mazowieckiego w ziemi łomżyńskiej pisze do nas jeden czytelnik.

We wsi Smolewo, gminy Szulborze-Koty zdarzył się dnia 19 lipca następujący wypadek. Na wiozącego żyto ob. Józefa Kozłowskiego napadł dzierżawca ośrodka w Smolewie, Roman Konarzewski, zabrał furę żyta z koniem do dworu, a po pozostałe na polu żyto Kozłowskiego wysłał swoje furmanki. Ob. Kozłowski, wzięwszy paru świadków, poszedł do Konarzewskiego, aby upomnieć się o zagrabiony plon swej pracy. Konarzewski rzucił się z rewolwerem na ob. Kozłowskiego i jedynie tylko dzięki przytomności świadków, którzy Konarzewskiemu wytrącili z rąk rewolwer, obeszło się bez rozlewu krwi. Podobno obecni, wyprowadzeni z

⁴ Syberyna – tęga, gruba tkanina wełniana, ale gatunku lepszego, [za:] *M. Arcta słownik ilustrowany języka polskiego*, Warszawa 1916, t. 2, s. 826 [przyp. aut. opracowania].

równowagi zachowaniem się Konarzewskiego, „wsypali” mu kilka kijów. I stała się wilka rzecz, bo oto na miejsce zajścia zjechał aż prokurator z Łomży i komendant policji z powiatu, którzy aresztowali ob. Kozłowskiego z synem i jeszcze 4 obywateli. Wszyscy zostali pozbawieni wolności. Oskarżono ich nawet o napad bandycki, przekręcając zupełnie przebieg zajścia. Gdzież więc sprawiedliwość? Czy wolno przeto stawać w obronie własnego życia i mienia?

Czytelnik.

[„Przegląd Łomżyński”, nr 7 z 15 lutego 1931 r.]

Z pow. Ostrowskiego.

Dn. 27 stycznia b.r. mieszkańcy wsi Kielczewo, gm. Prostyń, powiatu węgrowskiego, Kazimierz Chmielewski i Stanisław Imbrzykowski, zatrzymani zostali przez Borowego Stanisława, mieszkańca wsi Glina, podczas dokonywania defraudacji leśnej na szkodę tegoż. Wymienieni – przyłapani na gorącym uczynku zadali Borowemu Stanisławowi ciężkie uszkodzenie ciała, uderzając go siekierą w głowę. Poszkodowanego przewieziono do szpitala w Ostrowi Mazowieckiej. Sprawców zatrzymano i przekazano do dyspozycji władz sądowych.



Pierwsza dekada XX wieku. Chata włościańska w Ceranowie⁵.

⁵ „Wieś Ilustrowana”, nr 1 ze stycznia 1910 r, s. 31.